

# Dr Robert A. Peterson, Teologia właściwa, sesja 1, Kontekst kulturowy

© 2024 Robert Peterson i Ted Hildebrandt

To jest dr Robert A. Peterson w swoim nauczaniu na temat Teologii właściwej lub Boga. To jest sesja 1, Kontekst kulturowy.

Zanim zaczniemy mówić o doktrynie Boga, szukajmy Boga.

Łaskawy Ojciec, przychodzimy przed Ciebie przez Twojego Syna w mocy Ducha Świętego i prosimy Cię, abyś nas błogosławił, uczył, zachęcał i prowadził nas drogą wieczną. Prosimy Cię w imieniu Jezusa, Amen.

Żadna doktryna nie jest bardziej fundamentalna niż doktryna Boga. Można argumentować, że doktryna pism jest bardziej fundamentalna, i tak naprawdę, nie kwestionowałbym tego, ale doktryna Boga jest bardzo fundamentalną doktryną, powiedzmy.

Jeśli chodzi o współczesne błędy, tak wiele rzeczy opiera się na przykład na nadmiernym podkreślaniu rzekomej miłości Boga i umniejszaniu Jego świętości lub sprawiedliwości. Z pozytywnej strony, musimy poświęcić czas na zastanowienie się nad tym, kim jest Bóg, faktem, że Bóg istniał wiecznie jako Święta Trójca i że ma atrybuty i cechy. Stworzył nas na swój obraz i dzielimy częściowo niektóre z Jego cech, inne w ogóle, ale warto pomyśleć i rozważyć cechy lub atrybuty Boga.

Na koniec mamy nadzieję, że dotrzemy, planujemy dotrzeć do dzieł Boga, Jego dzieł stworzenia i opatrności, z zaledwie wzmianką o odkupieniu i spełnieniu, ponieważ są prorokami innych kursów. Zaczijmy więc od wprowadzenia dotyczącego kultury nowoczesnej i postmodernistycznej, gdzie jesteśmy i jak musimy lepiej zrozumieć doktrynę Boga. Jestem zobowiązany Davidowi Wellsowi, który w swojej piątej książce w tej dziedzinie adresowania kultury i potrzeby, aby Bóg był słyszany, mówiąc przez swoje słowo w kulturze i przesłanie o Chrystusie ukrzyżowanym i zmartwychwstałym i powracającym, piąta książka Davida Wellsa to Bóg w wirze, Bóg w wirze, centrum rzeczywistości, mówi.

Pierwsze wyzwanie, jakie napotykamy próbując zrozumieć nauki Biblii o Bogu, wiąże się z naszą kulturą. Anthony Thistleton napisał słynną książkę zatytułowaną The Two Horizons. Jest horyzont tekstu Biblii, jest horyzont interpretatora.

Szczerze mówiąc, podkreślałem to pierwsze przez całą moją karierę, ale ci, którzy są po prostu wybitnymi komunikatorami chrześcijańskiej prawdy, myślę o Johnie Stotcie i Davidzie Wellsie, którzy łączą oba horyzonty, z pewnością podkreślając słowo Boże,

ale nauczając słowa Bożego, aby wpływało, było rozumiane w kulturze i wpływało na tych, którzy są w kulturze, ponieważ jesteśmy i jesteśmy kulturalni, nie możemy sobie pomóc. Pierwsze wyzwanie, pisze Wells, ma związek z naszą kulturą. Jak to możliwe, że nasza kultura może stanąć nam na drodze do poznania Boga, jakim się objawił? Zaczniemy od podstawowej prawdy Pisma Świętego.

To Bóg staje przed nami. Wzywa nas, abyśmy wyszli z siebie i poznali Go. To jest najgłębsza prawda, z jaką kiedykolwiek się spotykamy, albo powinienem powiedzieć, najgłębsza prawda, z jaką się spotykamy.

Wells jest kalwinistą. I jest to klucz do wielu innych prawd, a mimo to nasza kultura popycha nas w kierunku dokładnie odwrotnego wzorca. Nasza kultura mówi, że musimy wejść w siebie, aby poznać Boga.

To jest pytanie kulturowe, które musimy zacząć rozumieć, ponieważ w przeciwnym razie ukształtuje ono sposób, w jaki czytamy Pismo Święte, jak postrzegamy Boga, jak do Niego podchodzimy i czego od Niego chcemy. Zaczynamy. Prawdziwa wiara, to znaczy wiara biblijnego rodzaju, zawsze miała swoją subiektywną stronę.

To nie podlega dyskusji. Kiedy słyszymy ewangelię, to my musimy odpowiedzieć. To my musimy pokutować i uwierzyć.

To Duch Święty działa w nas nadprzyrodzenie, aby nas odrodzić, dać nam nowe życie tam, gdzie była tylko śmierć, nowe apetyty na Boga i Jego prawdę, gdzie wcześniej ich nie było, łącząc nas ze śmiercią Chrystusa, abyśmy mogli mieć status synów. I nie tylko status, ale także doświadczenie bycia dziećmi Bożymi. Otrzymaliśmy, jak oświadcza Paweł, ducha adopcji jako synów, przez którego wołamy: Abba, Ojciec.

Duch sam daje świadectwo naszym duchom, że jesteśmy dziećmi Boga. Wszystko to, oczywiście, jest wewnętrzne. I w tym względzie jest subiektywne.

Dzieje się to w głębi naszej duszy i obejmuje wszystko, czym jesteśmy. W żaden sposób nie wątpię w te prawdy, gdy mówię, że Bóg staje przed nami i wzywa nas, abyśmy wyszli z siebie i poznali Go. Ale co to znaczy, że Bóg stoi przed nami? Że jest, w pewnym sensie, obiektywny dla nas? Cóż, mówi, zaczniemy z pewnej odległości od wiary chrześcijańskiej i powoli pracujemy w kierunku centrum, gdzie naprawdę chcemy być.

Po drodze będziemy myśleć o tym, jak nasze doświadczenia w tej pełnej presji, wypełnionej, zamożnej, zglobalizowanej kulturze kształtują nasze rozumienie tego, kim jest Bóg i czego od Niego oczekujemy. Bóg jest gdzieś tam. To, że Bóg jest przed nami, będzie się wydawać nienadzwyczajnym stwierdzeniem.

Kiedy niektórzy ludzie słyszą te słowa, mogą myśleć tylko, że Bóg istnieje i że jest w naszym świecie. Na Zachodzie liczba tych, którzy wierzą w istnienie Boga, zwykle mieści się w przedziale 90-97%. 90-97.

Jednak w 2013 r. tylko 80% Amerykanów zaliczyło się do tej kategorii w badaniu Pew. Niemniej jednak, gdy osoby wyznające nowy ateizm wyśmiewają tę wiarę w istnienie Boga, urojenie, jak to nazywa Richard Dawkins, anachronizm, jak deklaruje Peter Steven Pinker, Steven Pinker deklaruje, i po prostu zbiór fantazji, mówi Sam Harris, znajdują się poza głównym nurtem we wszystkich naszych zachodnich kulturach. Co więcej, około 80% ludzi na Zachodzie uważa się również za duchowych, w cudzysłowie.

Co ciekawe, jest to prawdą nawet w Europie, gdzie procesy sekularyzacji są bardzo głębokie od bardzo dawna. Ale prawdziwe pytanie, które należy zadać odnośnie wiary w istnienie Boga, brzmi: Jaką wagę ma ta wiara? Kongres USA umieścił słowa „In God We Trust” na naszej papierowej walucie w 1956 r.

Ale jest też jasne, że dla wielu ta wiara jest trochę skąpa i peryferyjna w stosunku do tego, jak naprawdę żyją. Wierzą w istnienie Boga, ale jest to wiara bez większej wartości pieniężnej. Powiedzenie, że Bóg jest przed nimi, byłoby zatem nieco bezsensowne.

Niekoniecznie ma to wagę, by zdefiniować, jak myślą o życiu i jak żyją. Rzeczywiście, jedną z cech definiujących nasze czasy, przynajmniej tutaj na Zachodzie, jest praktyczny ateizm, który jest prawdziwy u tak wielu ludzi. Mówią, że Bóg istnieje, ale potem żyją tak, jakby Go nie było.

Jak człowiek myśli o Bogu, Paul Fries i Christopher Bader pokazują w swojej książce *America's Four Gods*, że to, co mówimy o Bogu i co to mówi o nas, jest kształtowane przez ich odpowiedzi na dwa inne pytania. Po pierwsze, czy Bóg kiedykolwiek interweniuje w życie? Po drugie, czy Bóg kiedykolwiek wydaje osądy moralne na temat tego, co robimy i mówimy? Jeśli odpowiemy twierdząco na oba te pytania, to stwierdzenie, że Bóg jest przed nami, będzie oznaczało coś zupełnie innego niż to, co oznaczałoby, gdybyśmy odpowiedzieli przecząco na te pytania. Jeśli uważamy, że Bóg ma nieingerujące podejście do życia, to to, jak myślimy o byciu w Jego obecności, będzie jedną rzeczą.

Jeśli myślimy, że ma on praktyczne podejście, to czymś zupełnie innym byłoby zastanowienie się nad tym, co znaczy być w jego obecności. Czy powinniśmy zatem myśleć o nim jako o właścicielu, który utrzymuje budynek w dobrym stanie, ale nie ingeruje w życie tych, którzy tam mieszkają? Czy powinniśmy myśleć o nim bardziej jako o cheerleaderze, który krzyczy zachętę z boku, ale sam nie jest w grze? Albo o terapeucie, który zawsze utrzymuje dystans do pacjenta, aby analiza nie została

wypaczona przez kogoś, kto wie, że ostatecznie to pacjent musi naprawić swój własny statek? Czy powinniśmy myśleć o Bogu jako o kimś, kto nie ocenia, kto zachowuje swoje myśli dla siebie? To kierunek, w którym popycha nas nasza kultura. Bóg nie ingeruje.

On jest Bogiem miłości i nie jest osądzający. Drugim aspektem jest to, jak bardzo Bóg troszczy się o nasze słabości i porażki. Rzeczywiście, ile wie i jaką wagę przywiązuje do różnych porażek? Nasz dzień jest dniem, w którym informacje o świecie, jego wojnach, tragediach, cierpieniach i nienawiściach są natychmiastowe i jednoczesne.

Dzięki telewizji i Internetowi dowiadujemy się coraz więcej o wszystkim, co ma znaczenie, co się dzieje. I o wielu rzeczach, które są zupełnie nieistotne. To rodzi w naszych umysłach kilka interesujących pytań.

Biorąc pod uwagę częste okrucieństwa, które dzieją się na świecie, czy Bóg naprawdę przejmuje się naszymi prywatnymi, stosunkowo drobnymi grzeszkami? Czy wyprowadza Go z równowagi mały moment oszustwa tu i tam, gdy po prostu staramy się uniknąć zażenowania? Czy tak strasznie jest kłamać, jeśli nie ma w tym złośliwości? A co ze słabością seksualną, której nie możemy się oprzeć? Albo odrobiną autopromocji, która odrywa się od faktów? Czy On obsesyjnie myśli o tych prywatnych porażkach? Czy naprawdę Go to obchodzi? Czy jest On wielki i hojny i czy nie dostrzega tego, czego nie jesteśmy w stanie zmienić? Czy nie jest bardziej zajęty dopingowaniem nas niż potępianiem nas? To również jest kierunek, w którym chce nas zaprowadzić nasza kultura. Słyszymy, że ten kulturowy sposób myślenia jest nawet powtarzany w kościele. Joel Osteen, pastor największej amerykańskiej widowni kościelnej, nie wspominając o jego 200-milionowej społeczności na całym świecie, prowadzi nas tą drogą co tydzień.

W jego przesłodzonych poglądach Bóg jest naszym największym stymulatorem, który niestety jest sfrustrowany, że nie może obdarzyć nas większą ilością zdrowia, bogactwa, szczęścia i samospełnienia. Powodem jest po prostu to, że nie wyciągnęliśmy ręk, aby wziąć te rzeczy. Bóg naprawdę, naprawdę chce, abyśmy je mieli.

Jeśli ich nie mamy, cóż, wina leży po naszej stronie. Tak naprawdę przesłanie Osteena niewiele różni się od sposobu, w jaki większość amerykańskich nastolatków myśli o Bogu dzisiaj. W swoim badaniu duszy Christian Smith dał nam owoc obszernego badania, które przeprowadził na naszych nastolatkach.

Zostało wydane w 2005 r. Co jest naprawdę uderzające w tym badaniu, to odkrycie Smitha, że pogląd na Boga dominuje wśród większości tych nastolatków. Nazywa to moralistycznym, terapeutycznym deizmem.

Dominującym poglądem, nawet wśród ewangelicznych nastolatków, jest pogląd, że Bóg stworzył wszystko i ustanowił porządek moralny, ale nie interweniuje. Właściwie, dla większości, nie jest nawet trynitarny. Wcielenie i zmartwychwstanie Chrystusa odgrywają niewielką rolę w myśleniu kościelnych nastolatków, nawet w myśleniu ewangelicznych nastolatków.

Uważają, że Bóg nie wymaga od nich wiele, ponieważ jest głównie zaangażowany w rozwiązywanie ich problemów i sprawianie, że czują się dobrze. Religia polega na doświadczaniu szczęścia, zadowolenia, na tym, że Bóg rozwiązuje czyjeś problemy i zapewnia rzeczy takie jak domy, internet, iPody, iPady i iPhone'y. Jest to powszechny pogląd na Boga w nowoczesnej kulturze, nie tylko wśród nastolatków, ale także wśród wielu dorosłych.

To pogląd na Boga najczęściej spotykany w kontekstach zachodnich. To konteksty genialnie spektakularnej technologii; obfitość wytworzona przez kapitalizm, ogromny zakres możliwości, które mamy, niekończące się wybory we wszystkim, od pasty do zębów po podróże, i fakt, że teraz znamy cały świat, do którego jesteśmy podłączeni. Wszystkie te czynniki łączą się w naszym doświadczeniu i robią dziwne rzeczy ze sposobem, w jaki myślimy.

Co najważniejsze, najwyraźniej zrobili dziwne rzeczy z tym, jak myślimy o Bogu. Rzeczywiście, Ross Douthat w swojej książce *Bad Religion* mówi o tym jako o wszechobecnej herezji, która ogarnęła Amerykę. Ma całkowitą rację, że większość ludzi nie myślałaby o herezji w ten sposób.

Jednakże to, co tak wielu Amerykanów myśli o Bogu, jest zniekształceniem tego, co jest prawdą. Jako zniekształcenie jest substytutem tego, co prawdziwe. Dlatego jest hereetyckie.

Dlaczego więc ludzie tak myślą? Pozwólcie, że spróbuję odpowiedzieć na pytanie, które bez wątpienia jest bardzo złożone. Ponownie, jestem zobowiązany Davidowi Wellsowi za tę analizę kulturową, która ewidentnie nie jest moją mocną stroną. Ale jej potrzebuję.

Paradoks. Ten kontekst, ten wysoce zmodernizowany świat, wytworzył to, co David Myers nazywa amerykańskim paradoksem. Tak naprawdę ten paradoks nie jest unikalnie amerykański.

Można go znaleźć na całym Zachodzie. I coraz częściej można go zobaczyć poza Zachodem. Na przykład w zamożnych częściach Azji to samo staje się oczywiste.

I ten paradoks prowadzi naturalnie do dominującego poglądu na Boga. Więc czym jest paradoks? Jest nim to, że nigdy nie mieliśmy tak wiele, a jednocześnie nigdy nie

mieliśmy tak mało. Nigdy nie mieliśmy większego wyboru, bardziej dostępnej edukacji, większej wolności, większego dobrobytu, bardziej wyrafinowanych urzędzeń, większej liczby samochodów, lepszych domów, większego komfortu ani lepszej opieki zdrowotnej.

To jest jedna strona paradoksu. Drugą stroną jest jednak to, że pod każdym względem depresja nigdy nie była bardziej powszechna, lęk wyższy, a dezorientacja bardziej rozpowszechniona. Nie trzymamy naszych małżeństw razem zbyt dobrze.

Nasze dzieci są bardziej zdemoralizowane niż kiedykolwiek. Nasi nastolatkowie popełniają samobójstwa w najwyższym wskaźniku w historii. Zamykamy coraz więcej ludzi, a konkubinaty nigdy nie był tak powszechny.

W rzeczywistości w 2012 r. w Ameryce 53% dzieci urodziło się poza związkiem małżeńskim. Ta nowa norma jest pewnym prognostykiem nadchodzącego ubóstwa dla wielu z tych dzieci. Ten paradoks nie jest zupełnie nowy.

Kiedy Alexis de Tocqueville, Francuz, odwiedził Amerykę w latach 30. XIX wieku, zauważył, że chociaż całkiem sporo ludzi stało się zamożnych, była wśród nich również, jak to się mówi, dziwna melancholia. Osiągnęli równość wobec siebie na poziomie politycznym. Jednak na froncie społecznym prawie każdy znał kogoś, kto miał więcej niż oni.

Równość polityczna nie dawała równych rezultatów pod względem bogactwa i posiadłości. Tak przynajmniej Tocqueville tłumaczył melancholię, którą widział. Nie jest istotne, czy to było prawdziwe wyjaśnienie.

Ważne jest to, że obfitość niekoniecznie jest nieskazitelnym, bezwarunkowym błogosławieństwem. Oczywiście powinniśmy o tym wiedzieć, ponieważ to właśnie powiedział Jezus dawno temu. Jednak dzisiaj ten kulturowy paradoks jest niezwykle pogłębiony i znajdujemy się w zupełnie innym miejscu kulturowym niż Ameryka, którą Tocqueville widział prawie dwa wieki temu.

Wielu terapeutów odkrywa teraz, że ten paradoks wkradł się w życie tych, którzy do nich przychodzą. Wśród nich jest wielu młodszych. Często mówią, że chociaż dorastali w dobrych domach, mieli wszystko, czego chcieli, poszli na studia, być może weszli na rynek pracy, to jednak są zdezorientowani pustką, którą czują.

Mają wysokie poczucie własnej wartości, ale ich jaźń jest pusta. Dorastali, słysząc, że mogą być kimkolwiek zechcą, ale nie wiedzieli, kim chcą być. Są nieszczęśliwi, ale nie wydaje się, aby istniała przyczyna ich nieszczęścia.

Są bardziej połączeni z większą liczbą osób przez internet, a jednak nigdy nie czuli się bardziej samotni. Chcą być akceptowani, a jednak często czują się wyobcowani. Nigdy nie mieliśmy tak wiele.

Nigdy nie mieliśmy tak mało. To jest nasz paradoks. To dwustronne doświadczenie jest prawdopodobnie najlepszym wyjaśnieniem, dlaczego tak wiele osób, nastolatków i dorosłych, myśli teraz o Bogu i o tym, czego od Niego chcą.

Z jednej strony doświadczenie obfitości, pozornie nieograniczonych opcji, okazji, stale rosnących poziomów zamożności, niemal nieuchronnie wywołuje postawę roszczeniową. Do niedawna każde kolejne pokolenie zakładało, że będzie mu lepiej niż poprzedniemu. Każde zaczynało tam, gdzie skończyło poprzednie.

To oczekiwanie nie było nierealne. Tak właśnie się to potoczyło. Łatwo zauważyć, jak tego rodzaju poczucie uprawnień naturalnie przenosi się na nasze nastawienie do Boga i Jego postępowania z nami.

To właśnie sprawia, że myślimy o Nim jako o cheerleaderze, który pragnie tylko naszego sukcesu. Jest on boosterem, inspirującym trenerem, źródłem niekończącej się pomyslności dla nas. Nigdy nie wtrącałby się w nasze dążenie do dobrego życia, przez co rozumiemy dążenie do dobrych rzeczy w życiu.

Widzimy Go jako niekończące się źródło tych błogosławieństw. On jest naszym concierge. Dostawcy ewangelii zdrowia i bogactwa, ewangelii, w cudzysłowie, która jest eksportowana z Zachodu do nierozwiniętych części świata, wydają się zupełnie nieświadomi faktu, że ich podejście do wiary chrześcijańskiej jest zakorzenione w tego rodzaju doświadczeniu.

Gdyby nie korzystali z zachodnich kompetencji medycznych i zachodniego dobrobytu, raczej wątpliwe jest, aby mogli pomyśleć, że chrześcijaństwo polega na byciu zdrowym i bogatym. Przynajmniej w długiej, krętej podróży Kościoła przez historię nigdy wcześniej nie słyszeliśmy niczego dokładnie takiego. Wydaje się, że ci dostawcy tej tak zwanej ewangelii przyjęli pewne cele w życiu.

Aby mieć pożądane bogactwo i wystarczające zdrowie, aby się nim cieszyć. Wiara uprawnia ich do otrzymania tych rzeczy od Boga. Tam, gdzie ten rodzaj chrześcijaństwa został wyeksportowany, na przykład, do wielu krajów w Afryce, to jest wiara, która jest reklamowana.

To jest tak dosłownie. Kilka lat temu, opuszczając lotnisko w Johannesburgu w Republice Południowej Afryki, zauważyłem billboard z prostym pytaniem. Pytało, czy chcesz się wzbogacić? Pod tym pytaniem znajdował się numer telefonu, który, jak mi powiedziano, należał do ministerstwa zdrowia i bogactwa.

W wielu miastach Afryki istnieją centra cudów, gdzie cierpiący płacą cenę i idą, aby otrzymać swój cud. Przynajmniej mają pewność, że cud może być zdobyty. Wymieniający pieniądze w świątyni tak rozgniewali Jezusa, że fizycznie wyrzucił ich z budynku.

Ale my bierzemy ich zmodernizowane potomstwo w ruchu zdrowia i bogactwa w naszym tempie. Oni po prostu wtapiają się w nasze konsumpcyjne społeczeństwa i nasze oczekiwania, że Bóg jest tam na nasze skinienie i zawołanie. Są po prostu częścią ogromnego, rozległego imperium ewangelicznego.

Choć jest tak, że my, ludzie współcześni, doświadczyliśmy tego dostatku, jest też tak, i to jest druga strona paradoksu, że naszemu doświadczeniu dostatku towarzyszy doświadczenie pustki i straty. Nosimy w sobie tak wiele deficytów: poczucie surowości życia, frustracje w pracy, zranione i zerwane związki, rozbite rodziny, niezdolność do podtrzymywania trwałych przyjaźni, brak poczucia przynależności do tego świata i poczucie, że jest on pusty i wrogi. Dlatego szukamy u Boga wewnętrznego balsamu, ulgi od tych ran.

Stajemy się skłonni myśleć o Bogu jako o naszym terapeutcie z dużej litery. To pocieszenie, uzdrowienie i inspiracja są tym, czego pragniemy najgłębiej, więc tego właśnie od Niego oczekujemy. Tego również najbardziej oczekujemy od doświadczenia kościelnego. Chcemy być pocieszający, podnoszący na duchu, inspirujący i łagodzący umysł.

Nie chcemy, aby niedziela, a może sobota wieczorem, były kolejnym dniem pracy, kolejnym ciężarem, czymś, co wymaga wysiłku i koncentracji. Mamy już wystarczająco dużo ciężarów i zmagañ, wystarczająco dużo rzeczy, na których musimy się skupić w naszym tygodniu pracy. W weekend chcemy ulgi.

Łatwo więc dostrzec, jak to dwustronne doświadczenie, ten paradoks, ukształtowało nasze rozumienie Boga. Pozostawia nas z tęsknotą za Bogiem, który zbliży się, będzie chodził miękko, będzie dotykał delikatnie, przyjdzie, by podnieść, zapewnić pocieszenie i poprowadzić. Chcemy, by nasz Bóg był akceptujący i nieosądzający.

Pozostawia nas również z oczekiwaniem, że w jakiś sposób ten Bóg obfitości rozda nam swoje największe i hojne porcje, może nawet poprzez wygraną na loterii. Może wygramy Powerball, albo jakąś nagrodę w loterii. To jest rodzaj Boga, którego chcemy.

Tego właśnie od niego oczekujemy. Bóg znika w środku. Ponownie czytam te długie fragmenty z książki Davida Wellsa *Bóg w wirze*, ponieważ uważam, że są tak odpowiednie, aby pomóc nam zrozumieć, gdzie jesteśmy.



Nie są one substytutem nauczania Słowa Bożego, ale pomagają nam zrozumieć potrzebę nauczania Słowa Bożego. A my sami nie byliśmy absolutnie chronieni przed żadną z tych myśli. Z pewnością nasze rodziny i bliscy, dzieci i wnuki, na przykład, zostały dotknięte niektórymi z tych nurtów w naszej kulturze.

Bóg znika w nas. Ta postawa, jak argumentowaliśmy, prawdopodobnie wyrasta z naszego doświadczenia. Ale nasze doświadczenie opiera się na niczym innym, jak tylko na przesunięciu płyt tektonicznych pod naszymi zachodnimi społeczeństwami.

Jest to produkt końcowy co najmniej dwóch ściśle powiązanych ze sobą mega-zmian, które zachodzą w naszej kulturze od co najmniej lat 60. XX wieku. Po pierwsze, w naszych umysłach opuściliśmy starszy świat moralny, w którym Bóg był transcendentny i święty, i weszliśmy do nowego świata psychologicznego, w którym jest on jedynie bliski i kochający. To ramy, w których teraz rozumiemy wszystko.

Oznacza to, że zmiany w naszym sposobie widzenia rzeczy, które są zakorzenione w naszym doświadczeniu, zostaną teraz potwierdzone w naszym kontekście kulturowym. Po drugie, myślimy teraz o sobie nie w kategoriach natury ludzkiej, ale jaźni. Jaźń jest po prostu wewnętrznym rdzeniem intuicji.

To miejsce, w którym nasza własna, unikalna biografia, płeć, pochodzenie etniczne i doświadczenie życiowe łączą się w jednym centrum samoświadomości. A każde „ja” jest wyjątkowe, ponieważ nikt nie ma dokładnie takiego samego zestawu czynników osobistych. Nic dziwnego, że teraz jesteśmy skłonni patrzeć na życie, aby zrozumieć, co jest prawdą, i myśleć o tym, co dobre, a co złe, w unikalnie indywidualny sposób.

Każdy z nas ma swoją własną perspektywę na życie i jego sens, a każda perspektywa jest tak samo ważna jak każda inna. I żadna z nich nie jest ujęta w ramy absolutnych norm moralnych. To tutaj żyje zdecydowana większość Amerykanów.

Te zmiany próbuję opisać w mojej książce *Losing Our Virtue, Why the Church Must Recover Its Moral Vision*, jednej z pięciu ważnych książek Davida Wellsa. Chociaż utracony świat moralny i pojawienie się nowego ja można opisać osobno, w rzeczywistości dzieją się one razem i każde napędza drugie. Przyjrzyjmy się temu pokrótce.

W latach 60., gdy te zmiany kulturowe były w toku, wydawały się dość radykalne. To było sednem buntowniczej nowej lewicy. Wpływowe książki tamtych czasów, takie jak *The Making of a Counterculture* Theodore’a Roszaka i *The Greening of America* Charlesa Reicha, były atakiem na oświeceniową racjonalność, jakby, jak zakładało Oświecenie, nasz rozum był całkowicie bezstronny.

Ale drugą stroną tego przesłania była nieustanna obsesja na punkcie siebie, jego intuicji i stanów, a to oczywiście szło ręką w rękę ze sposobem, w jaki kultura oddziaływała na ludzi. To, co zaczęło się w radykalnej nowej lewicy, z czasem przekształciło się w powszechne założenia postmodernistycznego świata. Ta radykalizacja stała się głównym nurtem, a z tego wyłoniło się to, co Philip Reif nazwał człowiekiem psychologicznym.

To osoba, która została pozbawiona wszelkich punktów odniesienia poza sobą. Nie ma świata moralnego, ostatecznych praw i niesprawiedliwości ani nikogo, przed kim byłaby odpowiedzialna. Liczy się tylko wewnętrzna rzeczywistość tej osoby, nietknięta żadnym zobowiązaniem do wspólnoty lub zrozumienia z przeszłości, ani nawet ingerencją Boga z zewnątrz.

Podstawą, na której budowane są życia, jest to, że nie ma niczego poza jaźnią, na czym można by je zbudować, a jaźń ta chce tylko być zadowolona. Nie widzi powodu, by być zbawioną. To terapeutyczny deizm, którego moralność jest skupiona na sobie i generowana przez siebie.

Po latach 60. XX wieku, aby opisać to wszystko, weszły w modę słowa indywidualizm, narcyzm, pokolenie „ja” i era Wodnika. To był czas transcendentalnej medytacji i supergwiazdy Jezusa Chrystusa. Stanowił on materiał do takich książek jak błyskotliwie kwaśna powieść Time Wolfa *The Bonfire of the Vanities*.

Ta powieść przedstawia Nowy Jork w latach 80. XX wieku przez pryzmat czterech tandetnych postaci, które nie mają żadnego wyższego dobra niż własny interes i tak naprawdę żadnego innego ja poza tym, które projektują swoim wyglądem. Są próżni i puści. Są niczym innym, jak zbiorem póż i autoprojekcji.

Później, równoległe z filmem Olivera Stone'a z 1987 r. *Wall Street*. Film ten opowiadał o życiu kilku traderów z Wall Street, którzy kierowali się wyłącznie chciwością i żyli w całkowicie amoralnym świecie. W niektórych nowe terapeutyczne zaabsorbowanie pokolenia „ja” oczywiście przeniknęło do kościoła, choć w mniej jaskrawych i bardziej wysterylizowanych wersjach.

Rozpatrując ten czas wstecz, Wade Clark Roof powiedział, że jedną z cech charakterystycznych pokolenia wyżu demograficznego było rozróżnienie między wewnętrznymi i zewnętrznymi aspektami religii. To znaczy między tym, co nazywa się duchem, a instytucją. Instytucjonalny aspekt wiary chrześcijańskiej, kościół, zaczął być postrzegany ze sceptycyzmem.

Zamiast tego wierzono temu, co wewnętrzne, a nie doktrynie kościelnej, którą sformułowali inni, nie autorytetowi kościelnemu, w ogóle nie żadnemu autorytetowi

zewnątrznemu. Raczej to w prywatnych intuicjach można znaleźć Boga. Boomerzy wierzyli w swoje własne prywatne świąty i nie wierzyli w to, co kościół robi i mówi.

Tutaj w istocie znajdowały się nasiona, które pod koniec lat 90. XX wieku wytworzyły na całym Zachodzie miliony ludzi, którzy byli duchowni, ale nie religijni. Zarówno w Ameryce, jak i w Europie około 80% twierdzi, że są duchowni, a chociaż wśród nich była również liczba osób religijnych, wielu duchownych było zdecydowanie wrogo nastawionych do wszystkich religii. Sprzeciwiali się doktrynom, w które mieli wierzyć, zasadom, których musieli przestrzegać, i kościołom, do których mieli uczęszczać.

Oparli się każdemu z nich. Nie chcieli być obciążeni religijnymi lub społecznymi oczekiwaniami, które narzucali im inni. Impulsy, które zaczęły się w latach 60., stały się dominujące w latach 90., a oczywiście telewizja i internet podsyciły tę dyspozycję.

Zaskakująco wielu ludzi osiąga duchowe podniesienie tydzień po tygodniu tylko w zaciszu własnego salonu lub przy komputerze. Nigdy nie chodzą do kościoła. No cóż, chodzą do kościoła, ale robią to na swój własny sposób.

Kiedy Roof przeprowadził analizę, opisał to jako nawyk pokoleniowy. Powiedział, że tacy właśnie są boomerzy. Prawda jest jednak taka, że ten pogląd nie jest powszechny w jednym pokoleniu.

Ci, którzy podążali za boomerami, pokoleniem X, a potem millenialsami, mieli dokładnie te same nawyki. To właśnie wychwyciło badanie Smitha dotyczące nastolatków. Nie, to nie jest kwestia pokoleniowa.

To była i jest kwestia kulturowa. To dzieje się z ludźmi, którzy żyją w wysoce zmodernizowanym społeczeństwie. Są w samym środku amerykańskiego paradoksu i są nieodłączną częścią zarówno jego postmodernistycznego nastroju, jak i jego rozwiązań.

To była gleba, na której Oprah zbudowała swoje imperium telewizyjne. Fani, którzy oglądali jej program tydzień po tygodniu, byli tak konwencjonalni jak szarlotka w ich własnych umysłach. Jednak szczurołap, którego śledzili, tak naprawdę taki nie jest.

Zapowiadała epokę, w której Boga można znaleźć w sobie, w której zbawienie dotyczy tylko terapii, szczęście jest tuż za rogiem, a konsumpcja jest prawem każdego. A następną rzeczą, i to jest fajne w Oprah, jest to, że ona sama nie jest idealna na grzance. Jest tak bardzo ludzka.

Jej błędy i niedociągnięcia są widoczne w momentach bolesnej szczerości. Było tak, jakby była w swoim prywatnym konfesjonale, choć spowiadała się sama przed sobą,

ale cały świat miał przywilej jej słuchać. Postawy kulturowe, które eksplorowała Oprah, oczywiście wpływały na coś więcej niż tylko osobistą satysfakcję czy nawet religię.

W swoim Zmierzchu autorytetu Robert Nisbet napisał o tym, jak te postawy podkopały cały proces polityczny. Ogólnie rzecz biorąc, powiedział, biorąc pod uwagę nasze skupienie na sobie, nasze całkowite skupienie na sobie, następuje wycofanie się z tego, co jest ważne dla społeczności, do tego, co jest ważne tylko dla jednostki. Od tego, co ważne, do tego, co ulotne, od innych do nas samych.

A nasza narodowa dyskusja na te tematy jest tak odległa, jak tylko mogła być, od czasów, gdy ludzie mieli na myśli dobro narodu. Być może uosobieniem tego było siedem wielogodzinnych debat Lincoln-Douglas z 1858 r., relacjonowanych w całym kraju przez prasę, gdy poważne kwestie były poważnie i długo dyskutowane. Teraz nasze narodowe kwestie są dyskutowane w telewizji, gdy naród jest pochłonięty drobiazgami, powiedział Neil Postman w *Amusing Ourselves to Death*, gdy życie zostaje zredukowane do niczego innego, jak tylko rozrywki, a publiczna dyskusja o dobrostanie naszej natury odbywa się w dziecięcym gadaniu krótkich telewizyjnych kłasków, wtedy odczuwamy pierwsze powiewy śmierci kulturowej.

Nie ma już sposobu, aby mówić o tym, co dobre, i nie ma już ochoty rozmawiać o jakimkolwiek dobru innym niż dobro prywatnego interesu. Nadchodzą takie chwile w życiu narodu, jak napisał Guinness, gdy jego ludzie buntują się przeciwko zasadom założycielskim swojego narodu. To jest jeden z takich momentów w Ameryce.

Jest to o wiele bardziej niebezpieczne niż jakikolwiek atak terrorystyczny. Jest to w istocie samobójstwo wolnego ludu, jak to ujmuje w tytule swojej książki. Dlaczego? Ponieważ tym, co spaja republikę, nigdy nie była po prostu Konstytucja i nasze prawa.

Prawo jest niezwykle tępyim narzędziem, jeśli chodzi o kontrolowanie ludzkich zachowań. Istnieje wiele rzeczy, które są nieetyczne, a nie są nielegalne. Większość kłamstw, na przykład, nie jest nielegalna, ale zawsze jest nieetyczna.

Nasze prawa karne i cywilne mogą kontrolować tylko tyle naszego zachowania. Resztę robi cnota, a to właśnie jest niszczone w tej egocentrycznej, samozniszczalnej kulturze. Oto kwas, który zżera fundamenty narodu, degradując obiektywne wartości, wyrывая z korzeniami stare zwyczaje i pozostawiając ludzi bez wyraźnego poczucia celu, a właściwie bez żadnego celu, poza ich własnym interesem.

Pod postmodernistycznym słońcem każdy ma prawo do własnej wersji rzeczywistości. Kiedy to nastąpi, każda kultura traci zdolność do odnawiania własnego życia. Kultura przeszłości zostaje przekształcona w powierzchowne

formuły, które unoszą się w powietrzu, na falach i w naszej przeszłości, od osoby do osoby, w internecie.

Ponownie jest to podawane jako kicz, a wszyscy udają, że to ta sama głęboka, stara rzecz, którą kiedyś było. Tak nie jest. Kiedy to się dzieje, jesteśmy w zmięczeniu amerykańskiej kultury, jak twierdzi Morris Berman.

Rzeczy stają się niewyraźne. Tę dyspozycję wyraził Jean-Francois Lyotard w swojej *The Postmodern Culture*. Z całą swoją francuską rozwlekłością, dziwnością, wydawała się być odmieńcem w Ameryce, jeśli chodzi o książki.

Ale my sami już posunęliśmy się tą drogą, może nie z tym samym francuskim autorem, ale mimo to ku tym samym konkluzjom. Pisarz za pisarzem i film za filmem w latach 90. zakładali, że nie ma niezależnej rzeczywistości, żadnej rzeczywistości na zewnątrz. To, co mamy, każdy z nas, to prywatne ramy rozumienia i nie ma żadnych faktów, na których można by się oprzeć.

Fakty istnieją tylko wtedy, gdy zaczynamy je rozumieć w naszym własnym prywatnym świecie. Thomas Kuhn, który pisał o tworzeniu teorii naukowych, był teraz szeroko przywoływany, aby wyjaśnić wiele z tego, co działo się w kulturze. Wszyscy zaczęli mówić o zmianach paradygmatów tak łatwo, jak o burgerach i frytkach.

Tak więc granice między rzeczami zaczęły się nieco zacierać, a potem zanikać. Ameryka była na to gotowa. Jak zauważył James Livingstone, Amerykanie nie potrzebowali żadnych zachęt ze strony radykałów z długim stażem, aby pójść tą drogą.

Istnieje wiele takich upadłych granic, których powinniśmy być świadomi. Rozróżnienie między duszą a ciałem było granicą, która zanikała coraz bardziej po latach 60., gdy nasza kultura rozpoczęła swoją samoprzemiańkę. Wszystko, czym jesteśmy, jak zaczęto zakładać, a następnie twierdzić, jest zwierzęce.

Wszystko, czym jesteśmy, to tylko nasze ciało. Problemem jest jednak to, że w tym nowym świecie walczymy o znalezienie osobistej rzeczywistości. Nie zawsze wiemy, jak wyrazić naszą indywidualność.

Tęsknimy za czymś, co odróżni nas od wszystkich innych. Trochę zewnętrznej dekoracji, jak piercing i tatuaż, pomaga. Tak naprawdę, nie były to tylko tatuaże.

To było wszystko, co szło w parze z byciem cool. Wszystko, co wyróżniało kogoś jako jedyne w swoim rodzaju ciało, jako inne. W tej odmienności, jako tajemnicze, a w tej tajemnicy jako coś, co było, cóż, och, tak pożądane.

Na tym polega życie. Ale jeśli rozróżnienie między nami a zwierzętami poszło w zapomnienie, to otwiera to nową dyskusję o prawach. To właśnie wydarzyło się później.

Z poważnymi minami byli tacy, którzy zapewniali nas, że zwierzęta niczym nie różnią się od ludzi i że należy im się takie same prawa. Zaproponowano nawet, że zwierzęta zasługują na prawników, którzy pomogą im zabezpieczyć te prawa. Chociaż, jeśli mogę tak powiedzieć, żadne zwierzę nie zasługuje na niektórych naszych prawników.

To jest obrzydliwe. To zanikanie granic nie dotyczyło tylko ciała, ale także płci. Manipulacja płcią i jej naginanie pozostaje na obrzeżach społeczeństwa, wśród innych egzotyk.

Ale homoseksualizm to zupełnie inna sprawa. Homoseksualizm zyskał znaczącą akceptację kulturową, a ta akceptacja jest teraz w samym głównym nurcie. Rzeczywiście, był w samym centrum przemówienia inauguracyjnego prezydenta Obamy w 2013 r.

Samo to, że istnieje szerokie poparcie dla homoseksualizmu, jest znaczące. Ale o wiele ważniejsze jest to, że jest to tylko część głębokiego, wielotorowego wysiłku na rzecz redefinicji rodziny. Jesteśmy w trakcie ogromnego eksperymentu społecznego.

Definiujemy na nowo najbardziej podstawowy element każdego społeczeństwa. Marksieści próbowali przeprojektować system klasowy swoich czasów. Ta próba leży teraz w gruzach.

Obecnie wiele społeczeństw zachodnich podejmuje równie śmiały eksperyment, aby przepisać podstawowe zasady dotyczące rodziny. Można jednak podejrzewać, że wynik nie będzie bardzo różny. Kiedy te eksperymenty społeczne się załamają, pociągają za sobą ogromne zamieszanie, nieporządek i cierpienie.

Ale to nie jest jedyne, co widzimy. Kiedy zaczynamy myśleć o sobie, że nie jesteśmy niczym innym niż zwierzętami, przestaje być dla nas jasne, że tak naprawdę różnimy się od zwykłych komputerów. Jesteśmy po prostu naszym DNA, które działa poprzez różne wewnętrzne mechanizmy.

To był próżny umysł w niektórych naszych filmach, takich jak Blade Runner z wcześniejszych czasów i Matrix w ostatnim czasie. To dylemat typu „co było pierwsze: kura czy jajko”. Co było pierwsze? Czy najpierw przełamaliśmy granice i odkryliśmy, że dawna granica między nami a Bogiem również zniknęła? Czy też ta granica zniknęła pierwsza i po jej zniknięciu całe życie musiało zostać wyobrażone na nowo? Jakkolwiek się to stało, zewnętrzny Bóg zniknął i został zastąpiony przez wewnętrznego Boga.

Transcendencja została pochłonięta przez imminencję. Boga można znaleźć tylko w sobie. Gdy to się stało, granica między dobrem a złem, przynajmniej tak jak myśleliśmy o tych rzeczach, opadła jak rząd spadających kręgów.

Zło i odkupienie zaczęto postrzegać jako dwie strony tej samej monety. Nie dwie alternatywy w życiu. Prawdą jest, że całe życie jest na nowo pojmowane i wyobrażane na nowo.

Jednakże ta próba odbudowy nas samych i naszego społeczeństwa na innych fundamentach prowadzi nas w ślepy zaułek. Prawda jest taka, że nie radzimy sobie zbyt dobrze. Kiedy Bóg, zewnętrzny Bóg umiera, wówczas jaźń natychmiast wkracza, aby wypełnić próżnię.

Ale potem dzieje się coś dziwnego. Jaźń również umiera. A wraz z nią odchodzi sens i rzeczywistość.

Kiedy te rzeczy się dzieją, wszystko jest możliwe. Dystopijna powieść Huxleya *Nowy Wspaniały świat* wcale nie wydaje się tak odległa w przyszłość. Wiemy, że teraz jesteśmy w pędzącym pociągu pędzącym po torach.

I absurdem jest myśleć, że pochylając się nad burtą i wbijając pięty w ziemię, możemy mieć najmniejszy wpływ na prędkość pociągu. Ludzie to wyczuwają. Wielu tak.

W naszej kulturze panuje panika, ponieważ wiemy, że nasza era się kończy. Nasze horrory to nie tylko historie. To rodzaj lustra nas samych.

Wyływają na powierzchnię. Niejasne poczucie, które mamy — poczucie strachu.

Poczucie, że nie wszystko jest w porządku w naszym świecie. I że tam na zewnątrz czai się czyhające zagrożenie, którego nie możemy zobaczyć. Intuicyjnie czujemy, że nad nami wisi przerażające nieszczęście, ale nie rozumiemy, co to jest, ani nawet gdzie to jest.

Jacy jesteśmy. Amerykański kościół jest na pierwszej linii w obliczu tego zmodernizowanego świata. Jednak to, jak powinien sobie radzić z tym zaangażowaniem, stało się jego najbardziej zagadkowym dylematem.

I to jest również jego najpilniejsze wyzwanie. Oczywiście jest, że często kusiło go dostosowanie wiary chrześcijańskiej do tego kontekstu. Raczej mają tendencję do konfrontowania kontekstu, w którym jest to wymagane.

Zamiast stać się alternatywnym poglądem na życie, wiara chrześcijańska często stawała się echem tego, co dzieje się w tego rodzaju zmodernizowanej kulturze. Jezus byłby zaskoczony, widząc, jak łatwe stało się królestwo Boże, gdy uczyniliśmy się istotnymi dla kultury. W naszych zachodnich społeczeństwach zachodzą w istocie wstrząsające zmiany.

Wielkie myśli o Bogu. Nasz świat jest wstrząsany aż po fundamenty. Zamiast oferować wielkie myśli o Bogu, znaczeniu rzeczywistości i ewangelii, istnieją kościoły ewangeliczne, które oferują tylko małe lecznicze panacea, które są słodkie, ale w większości bezwartościowe.

Można się nawet zastanawiać, czy niektóre obecne dziewczęta kościelne nie byłyby nawet odporne, gdyby spotkały się z głębokim, kosztownym i wymagającym chrześcijaństwem. Dlatego musimy powrócić do naszych pierwszych zasad. A najbardziej podstawową z nich jest fakt, że Bóg istnieje i jest dla nas obiektywny.

On nie jest tam, aby dostosować się do nas. My musimy dostosować się do Niego. On wzywa nas z zewnątrz, abyśmy Go poznali.

Nie zagłębiajmy się w siebie, aby Go znaleźć. Jesteśmy wezwani, aby Go poznać tylko na Jego warunkach. Nie jest On znany na naszych warunkach.

To wezwanie jest słyszane w i poprzez Jego słowo. Nie jest słyszane poprzez nasze intuicje. To są nasze najbardziej podstawowe zasady, ponieważ dotyczą naszych najbardziej podstawowych problemów i naszego najbardziej podstawowego powołania.

Powołaniem jest poznanie Boga, takiego jakim się objawił i w sposób, jaki nam nakazał. Mamy usłyszeć to powołanie w ramach, które On ustanowił. Nie jest On tam, kiedy nam wygodnie, ani po prostu dla naszego uzdrowienia, ani po prostu jako boski mówca rozdający rzeczy ze swojego wielkiego banku.

Nie, jesteśmy tutaj dla jego służby. Jesteśmy tutaj, aby poznać go takim, jaki jest, a nie takim, jakim chcielibyśmy, aby był. Lokalny kościół jest miejscem, w którym powinniśmy się o tym uczyć, a słowo Boże jest środkiem, za pomocą którego możemy to zrobić.

Ale musimy pójść dalej. Nie wystarczy wiedzieć, że Bóg dał nam prawdę, która odpowiada temu, co jest, która odpowiada Temu, który jest. Ponadto, jest to słowo samego Boga, którego używa On, aby zwrócić się do nas osobiście.

Czyniąc to, czyni nas znawcami samego siebie. Przychodzi spoza naszych okoliczności. Nie jest ograniczony naszą subiektywnością.



On ma wolność, by wkroczyć do nas, uczynić nas swoimi i włączyć nas do swoich wielkich planów odkupienia, które rozwijały się przez wieki. Duch Święty ponownie mówi nam prawdę Pisma Świętego dzisiaj i otwiera nasze umysły i serca, by ją przyjąć. W ten sposób otrzymujemy nie tylko pogląd na Boga i nas samych, ale pogląd.

I nie tylko właściwy i prawdziwy pogląd; otrzymujemy samego Boga, który przychodzi do nas przez swoje słowo, przez dzieło Ducha Świętego. To Bóg czyni nas znawcami siebie. Bóg jako święta miłość.

Bóg jest zatem dla nas obiektywny w tym sensie, że stoimy przed Nim. Jesteśmy kanibalami przed Nim i kanibalami w świecie Jego świętości. Znamy Go zbawczo tylko dlatego, że wciągnął nas w poznanie Siebie.

W tym przejawia się miłość – pisze Jan – nie w tym, że my umiłowaliśmy Boga, ale że On nas umiłował i posłał Syna swego jako ofiarę przebłagalną za nasze grzechy. 1 Jana 4.10 Miłujemy, ponieważ On sam pierwszy nas umiłował. 1 Jana 4.19 Miłość jest definiowana i to, co nadaje jej istotę znaczeniową, to ofiarna, zastępcza śmierć Chrystusa.

To jest to, co w najwyższym stopniu definiuje miłość Boga. To zostanie wzięte; to jest jeden z tematów naszych wykładów w tym tygodniu. Zdanie Johna definiujące miłość zostałoby dzisiaj dokończony zupełnie inaczej na Zachodzie.

W tym jest miłość, wielu powiedziałoby, że Bóg jest dla nas, gdy Go potrzebujemy. Jest dla tego, czego od Niego potrzebujemy. Jest miłością, ponieważ daje nam wewnętrzny komfort i sprawia, że czujemy się lepiej sami ze sobą.

On jest miłością, ponieważ czyni nas szczęśliwymi, daje nam poczucie spełnienia, daje nam rzeczy, uzdrawia nas, robi wszystko, aby nas zachęcać każdego dnia. To jest dominujący pogląd na Boga dzisiaj. Kiedy Osteen powtarza to wszystko, pokazuje, jak doskonały jest jego kulturowy dotyk.

Pogląd Biblii jest z kolei zupełnie inny, ponieważ jej świat jest moralny. Nasz dzisiejszy jest głęboki, nieubłagany i wyłącznie terapeutyczny. Świat Biblii jest zdefiniowany przez charakter świętości Boga.

Nasz dzisiejszy nie jest. Jest psychologiczny. To jest różnica między Bogiem, który jest obiektywny dla nas, a Bogiem, który jest subiektywny w tym sensie, że zniknął w jaźni.

To zasadnicza różnica, którą musimy pojąć, gdy zaczynamy myśleć o doktrynie Boga. Gdy postmoderniści myślą o życiu w psychologicznych ramach, robią to z centrum w sobie. To jaźń decyduje, co oznacza zbawienie i co oznacza życie.

Kiedy myślimy o życiu w ramach moralnych ram Pisma Świętego, które daje nam Bóg, myślimy o nim z Bogiem jako jego centrum. To On w swojej świętości definiuje zbawienie, którego potrzebujemy, i On w swojej miłości zapewnia to, czego potrzebujemy w Chrystusie. W postmodernistycznym ujęciu jesteśmy w centrum życia.

W biblijnym ujęciu nie jesteśmy. To Bóg jest centrum życia. Jeśli nie zrozumiemy tych różnic, będziemy na morzu, gdy zaczniemy myśleć o tym, jak Bóg faktycznie się objawił.

Współgranie miłości i świętości jest bardzo trudne do utrzymania jednocześnie. W rzeczywistości wielu uważa, że jest to niewłaściwe. Na Zachodzie bardzo aprobujemy myśl, że Bóg jest miłością, ale odrzucamy myśl o jego świętości.

Niektórzy twierdzą, że jest to część pierwotnej przeszłości, z której się wywodzimy. Dojrzeliliśmy i nie możemy już wierzyć w surowe mity, takie jak boski sąd. Z kolei istnieją inne kultury, zwłaszcza tam, gdzie obecny jest radykalny islam, które gardzą myślą, że Bóg jest miłością i uważają go jedynie za świętego.

Miłość jest postrzegana jako część miękkiego, zachodniego sentymentalizmu. Oznacza to, że ich społeczeństwa mają tylko surowe prawa połączone ze wszystkimi mechanizmami zemsty i odwetu za wyrządzone krzywdy. Nie ma przebaczenia.

Chrześcijaństwo jednak w wyjątkowy sposób łączy miłość i świętość, ponieważ w charakterze Boga są i zawsze były połączone. Myślimy tutaj o miłości i świętości Boga jako obejmujących wiele aspektów Jego charakteru, o których mówi Pismo. Termin święta miłość nie jest całkowicie zadowalający.

Może nawet sugerować to, przeciwko czemu się spieramy, że miłość jest podstawowa, a świętość jest drugorzędna. Ale to nie to, co mamy na myśli. Problem polega na tym, że jeśli nie mogę użyć skrótu świętej miłości, jesteśmy ograniczeni do innych bardzo trudnych wyrażeń.

Na przykład świętość Boga i miłość Boga w ich jedności ze sobą. Więc będziemy trzymać się świętej miłości. Dzisiaj naszą stałą pokusą, wspomaganą i podżeganą przez naszą kulturę, jest rozbitcie myślnika.

Chcemy miłości Boga bez Jego świętości. Chcemy tego, ponieważ żyjemy w naszych prywatnych terapeutycznych światach, które nie mają absolutnych norm moralnych. Świętość Boga staje się zatem rażącym i niepożądanym wtargnięciem.

Jego miłość bez jego świętości jest jednak jedną z tych rzeczy w życiu, których po prostu nie możemy mieć. I rzeczywiście, stanie się to jedną z naszych największych radości, aby móc zrozumieć, jak Bóg jest zarówno święty, jak i kochający. Dość.

Dość. Ten kulturowy, nieco przygnębiający wstęp kładzie ramy dla naszego szukania Boga w Jego słowie i uczenia się, że jest On świętą miłością, a nawet czymś o wiele, wiele więcej.

To jest dr Robert A. Peterson w swoim nauczaniu na temat Teologii właściwej lub Boga. To jest sesja 1, Kontekst kulturowy.